



Artur Oppman, pseud. Or-Ot  
(1867 — 1931)

## Pieśń o rynku i zaułkach. Nowy cykl o starym mieście (wybór)

### *Rynek o świcie*

Szarość Starego Miasta wyświetla się zwolna,  
Obłoki w nią poranne sączą płynne srebro,  
Od wybrzeża tchnie rzeźwość wiślana i polna:  
Świt zaczął swe misterium ze zwykłą celebrą.

Niebo w coraz odmienny rozbarwia się kolor,  
W błękitność i w różowość wsiąka dom po domie,  
Błade złoto klejnotów nadaje im polor,  
Feeryczną na murach tworząc polichromię.

Skrzypnęły w starym dachu sąsiednie okienka:  
W lakach, fuksjach, primulkach ogrody hesperyd, —  
W jednym spleta warkocze w negliżu panienka,  
W drugim — fajkę zapala jowialny emeryt.

W zespół barw pastelowych, co Rynek nasycy,  
Od wschodu się niebiosów ton gorętszy wtrąca, —  
Aż na buzię dziewczynki i dziadygi lica  
Spadła strzała płomienna wschodzącego słońca.

Buchnęły wrząca czerwień, ognista purpura,  
Pałą się z karmazynem, z karminem, z szkarłatem,  
Jakby nagle Żar-ptaka złotokrwawe pióra  
Rozgorzały pożarem nad ockniętym światem.

Cud płynie z kuli ognia, jak z Graala misy,  
Rozkwit ciska na truchło, jak malunek na tło,  
Wypukleją na słońcu zatarte napisy,  
Ścian rzeźby, jak w gorączce, wyskakują w światło.

Gdyby cię wzwyż uniosła ta kula daleka,  
W światy, któremi kiedyś, jako duch zawładniem,  
Widziałbyś: Stare Miasto — to płomienna rzeka,  
Wieże: to słupy ognia gorejące nad niem.

Lecz ta kolorów orgja tak prędko przygasa,  
Ledwoś je zdołał objąć zdumionem spojrzeniem, —  
I zostaje codzienna starych murów krasa,  
Co już nie jest królestwem, lecz królestwa cieniem.

W wilgotnych paszczę sieni, w mrocznych domów głębie,  
Wpada ranek, rozdrżany sygnaturki dzwonem,  
Srebrzyste z nad katedry wzlatują gołębie,  
Maczając prężne skrzydła w złocie roztopionem.

W wykuszu na przyrozu, z za żelaznej kratki,  
Gdzieś spodziewał się ujrzeć anioła tęsknoty,  
Wywiesza stara babka uprane manatki,  
I tylko dla nich pragnie słonecznej pieszczoty.

### *Zaułki*

Lubię was, stare mury, oplecione w bluszcze,  
Mchem zielonym porośle dachówki i cegły,  
Opodal szara Wisła monotonnie pluszcze  
I przez stęsknione oczy myśli wstecz wybiegły.

Jak cicho tu się żyło i jak błogo pewnie,  
W tych ścianach, skąd gra echem mowa dawnych ludzi,  
Dni płynęły, jak bajka o śpiącej królewnie,  
Na którą wciąż się czeka, którą wciąż się budzi.

Furty, których jakgdyby nikt już nie otwiera,  
Okna, gdzie dzikie wino wije się jak wiło, —

I tu widzisz dokładnie, że nic nie umiera,  
Że wszystko jest jak było i będzie jak było.

Na rzekę staroświecki spogląda ganeczek  
I jaśnieją, jak gwiazdy, niebieskie oczęta,  
Drżą w powietrzu melodje najmilszych piosneczek,  
Których nikt już nie śpiewa i nikt nie pamięta.

Życie tu się tak dziwnie uczuciem nasila  
I tak skraca się przestrzeń lat wielu, snów wielu,  
Że wieki, które przeszły, są jak jedna chwila,  
Co właśnie w dniu dzisiejszym stanęła u celu.

Gdy zbłądzisz w te kąty o wieczornej porze,  
Kiedy wnikliwa cisza nad miastem przepływa,  
To tak, jakbyś się ocknął w innej czasów porze,  
Która jest twemu sercu jedynie właściwa.

Przeminęły stulecia, a ty wiesz, że ongi  
Tak samoś chodził tędy, jak teraz, po wiekach,  
I oglądałeś w niszach te same posągi,  
Z tem samem drżeniem serca, z tą łzą na powiekach.

I pod tamtemś okienkiem przystawał ukradkiem,  
Ukochanej twarzyczki czekając widoku  
I rączki, co rzuconym obdarzy cię kwiatkiem,  
Byś cudną wizję szczęścia całą noc miał w oku.

Lubię was krętych ulic wąskie korytarze,  
Stare domy zaułków, szare i posępne,  
Godziny na zamkowym bijące zegarze  
I odwiecznych kościołów wieże wniebowstępne.

I choć tak po królewsku ubarwił się Rynek,  
Wy zostańcie, jak teraz, w swojej mgle szarości,  
Jak lat, które minęły, zmurszały wspominek,  
Może smutny, lecz godny i czci i miłości.

## *Krzywe koło*

Pamiętam jak mnie zawsze bawiło, smarkacza,  
Imionisko niezgodne z prawdą, i z oczyma:  
To Koło, co bynajmniej koła nie zatacza,  
I umieszczona w nazwie krzywość, której niema.

Chyba to najciekawszy z warszawskich zaułków,  
Kamiennymi Schodkami i Pocztań obramion,  
Patrzący na czerkieskich dżygitówkę pułków,  
Co były jednym z dzikich namiestnika znamion.

Krzywe Koło jest punktem jakgdyby centralnym  
Zbiorowiska najstarszych ulic i uliczek, —  
I trzeba tylko spojrzeć wzrokiem idealnym,  
By wniść w jasnovidzeniu do historii drzwiczek.

Kiedy zamknę źrenice na to, co jest wokół,  
Gdzie jak ślepi się snują kretyni i błaźni,  
Panoramę stuleci przefruwam jak sokół  
I wszystko, co w niej było, widzę najwyraźniej.

Zmurszały gmach Ojczyzny wstrząsł się jak od gromu:  
Idą za echem Francji mężowie szlachetni:  
Na rogu Nowomiejskiej od Dekerta domu  
Czarna zdążyła Procesja na Sejm czteroletni

I oglądam Warszawę w innym znów kolorze,  
Jakbym z krwi i z płomieni włożył żrące szkiełka:  
Ostatnie, z bierwion smolnych, czarownicy łożę  
I ryk zgrai ohydnej na placu Piekielka.

Jakby sprośnych szatanów zabrzmiał śmiech szyderski,  
Słychać rechot plugawy i nierządne śpiewki:  
To gzi się w Międzymurzu, w uliczce Rycerskiej,  
Zamtuz kata: za lubość wyświecone dziewczki.

Igrzyska Czarnej Śmierci widzę dobę gniewną:  
Zesłaną przez Turczyzna zemstę na Polakach,  
Powietrznego burmistrza, imcipana Drewno,  
I trupy z pustych domów ściągane na hakach.

Nito w locie bumerang, wracam do początku,  
Do Poczty, którą niegdyś stworzył Montelupi,  
I w obronnych się murów zakochuję szczątku,  
Co z bezmyślną ludnością czas bezczelny łupi.

Tak to mi się na jawie marzenie odtwarza  
I ciemnymi nocami nieraz na mnie woła,  
Bym w to wszystko, co mi się śni i wyobraża,  
Przyszedł spojrzeć raz jeszcze od Krzywego Koła.

### *Dachy*

Świat dachów staromiejskich jest to świat odrębny,  
Jak z blachy zardzewiałej dziwacznie pogięty,  
Zjeżony karpiówkami jak potwór stuzębny  
I sztucznie połamany w skręty i zakręty.

Na ten poemat dachów, gdy poglądam z góry,  
Jak zbieracz, co odkopał precjoza rozliczne,  
Podziwiam arabeski zamierzchłej kultury  
I wnikam niespodzianie w zjawy fantastyczne.

Każdy dom ma tu swoją poetycką postać,  
Do żadnego z sąsiadów niepodobny całkiem, —  
I gdybym kiedykolwiek miał czemś z muru zostać,  
Tylko takiego dachu chciałbym być kawałkiem.

Mam słońce i lazury, mam zieleni facjatek  
I podstrysze do marzeń jak piwnicę winiarz,  
Cieszy mnie w oknie panna i w jej ręku kwiatek,  
A straszy wyłazący z dymnika kominiarz.

Takim tchem średniowiecza, cudownym jak baśnie,  
Lub jak sen pijanego Michała Anioła,  
Na Rynku staromiejskim dwieście lat jest właśnie  
Czamerów kamienica, róg Krzywego Koła.

Jej dach, kaprys poety, ma trzy kondygnacje,  
Jakby je mistrz wysyłał na zórawich piórach,

Pierwsza — to okap domu, druga: świętych stacje,  
A najwyższa, jak widmo, ginie już w lazurach.

Dachy są koronami staromiejskich tynów,  
Malowane od wieków wszystkich blasków tęczę,  
I jak skroń bohaterów girlandy wawrzynów,  
Tak je kołpaki śniegu albo słońca wieńczą.

Stosownie do dnia pory mają różne barwy  
I różne obyczaje przygodnych mieszkańców,  
W noc koty po nich krążą, jakby czarne larwy,  
Skore do spazmatycznych romansów i tańców.

Uwypukla raj koci srebrnolica Djanna  
Dachówki ich łożnicy srebrząca jak blaszki,  
Z poza fuksyj kwitnących zerka stara panna  
I chciwie podpatruje Maciusiów igraszki.

A gdy nów tajemniczy sinem światłem broczy  
I Bóg mi daje czytać z przeszłości kurhanu,  
Z podniebnego pięterka zatapiam w nie oczy,  
Chłonąc kolory miedzi, kiru i grynszpanu.

[A. Oppman, *Pieśń o rynku i zaułkach. Nowy cykl o starym mieście*,  
Wydawnictwo J. Mortkowicza, Warszawa 1932.]